

Ronald Harwood, Kwartet, przekład Michał Roniker, reż. Robert Czechowski, scenografia i kostiumy Wojciech Stefaniak, oprac. muzyczne Damian Neogenn-Lindner. Obsada: Elżbieta Lisowska- -Kopeć, Elżbieta Donimirska, Janusz Młyński, Jerzy Kaczmarowski. Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego. Premiera 15 maja 2010.

Sztuka Ronalda Harwooda Kwartet to obok Garderobianego najciekawsza propozycja sceniczna tego autora. Jak łatwo można popaść w banał inscenizacyjny, wystarczy porównać dwie inscenizacje tego tekstu: poznańską, zrealizowaną w Teatrze Nowym przez Mariusza Puchalskiego i zielonogórską, reżyserowaną przez Roberta Czechowskiego. Jeśli ktoś miał okazję obejrzeć wspomniane wcześniej dwie inscenizacje, to zrozumie, na czym polega nadinterpretacja wersji zielonogórskiej. A zatem wyjdźmy od tekstu, co w teatrze wydaje się ważne. Role bowiem od dawna są tu podzielone: autor pisze, reżyser dokonuje konkretyzacji. Harwood pozostawił nam tekst szlachetny. Zgoda, że pełen humoru, ale z pewnością nie prześmiewczy. Pisząc o przemijaniu, nie zamierzał wyśmiewać swoich bohaterów, lecz napisać tekst o nieuchronności upływającego czasu, ale też o zmieniającej się perspektywie w spojrzeniu na życie, co zauważa Wilf, mówiąc: „Reggie ma rację. My przychodzimy i odchodzimy, a oni trwają wiecznie. A kiedy przyłączamy się do niebiańskiego chóru, nasz pokój zajmuje ktoś inny. To normalny bieg rzeczy”. Taka jest też inscenizacja Mariusza Puchalskiego. Natomiast po wizycie w Lubuskim Teatrze i po obejrzeniu zmagania z nim Czechowskiego, zadziwiony, postanowiłem jeszcze raz przeczytać tekst Harwooda, by próbować zrozumieć myślenie reżysera. Przede wszystkim przesada, przerysowanie charakteryzuje postaci z inscenizacji zielonogórskiej. Tymczasem reżyser, czytając tekst i zabierając się do pracy, powinien dobrze przemyśleć kwestię, którą wypowiada Reggie. Cytuję: Dziwnym zbiegiem okoliczności ja napisałem dziś rano aforyzm. Też na temat sztuki. (Wyjmuje kalendarzyk i znajduje odpowiednią stronę) Jest. „To, co popularne, jest zawsze dobre, ale to, co dobre, nigdy nie jest popularne”. To kulturalny manifest naszych czasów. Chyba dość zręcznie to sformułowałem, prawda? (WILF nadal szuka czegoś po kieszeniach i nie odpowiada) „To, co popularne, jest zawsze dobre, ale to, co dobre, nigdy nie jest popularne”. Co o tym myślisz, czy uważasz, że mam rację? To pytanie kieruję do twórcy tej inscenizacji, ale i kreatora polityki repertuarowej LT. Podstawowy zarzut bowiem brzmi: w końcu przecież nie wszyscy na starość jesteśmy niesprawni mechanicznie. Szczególnie w środowisku artystycznym, gdzie aktywność zawodowa jest często przedłużona. Tymczasem, jak rozumiem, kluczem Czechowskiego do interpretacji scenicznej dramatu Harwooda staje się przerysowywanie fizyczne postaci. Z tego wynika mój wielki ukłon dla Janusza Młyńskiego czy Jerzego Kaczmarowskiego za ogromną pracę nad rolami, szczególnie nad formą ekspiacji postaci, operowanie przyruchem. Ale skupienie się na owej fizyczności: ciąganie nóg, fizyczne objawy dzieciennienia, mlaskanie, nadmierna tęsknota za namiastką seksu itp., zubaża różnorodną paletę zachowań w wieku dojrzałym. Elżbieta Donimirska od kilkunastu miesięcy nie potrafi wydobyć się z powtarzalnej formy przyjętej, a właściwie narzuconej jej przez własną, prywatną fizyczność. Chodzi o charakterystyczny tembr głosu. Powoduje to nieustanną powtarzalność postaci. W Kwartecie znów się tapła w formie rodem z przeszłości. Co pcha niepostrzeżenie, ale konsekwentnie opowieść sceniczną w kierunku taniej farsy, a przecież takiemu dążeniu lepiej sprostałby oryginalny tekst angielskiej farsy. Najlepiej wypada, najmniej poddaje się uciekaniu w formę, postać Joan, grana przez Elżbietą Lisowską-Kopeć. Zatem ukłon dla aktorskiego rzemiosła, ale też pytanie – po co ten wysiłek? Gdyż to nie o tym ta sztuka. Anegdota Kwartetu jest bowiem banalna. „Chcę, żebyśmy zaśpiewali kwartet z Rigoletta 10 października, podczas galowego koncertu ku czci Verdiego” – mówi Reggie. I oczywiście dla bohaterów przed czterdziestką nie byłoby to zadanie niezwykle, ale nasi, niestety, mają lat o

wiele więcej. Dawno nie śpiewali. Tak naprawdę żyją tylko wspomnieniami dawnej świetności, dawnych wspomnień, sukcesów. W końcu jednak znajdują pomysł na realizację projektu, by przypomnieć swoją dawną świetność. Zaśpiewają, jakbyśmy dzisiaj rzekli, z playbacku. I tak czynią. Ale podczas tych przygotowań do decyzji o występie rozliczają się z czasem przebyłym, przeżyłym, ze swoimi decyzjami, uczuciami. I to – moim zdaniem – jest znakomity materiał, znakomite dialogi dla pracy reżyserskiej. Ale z pewnością nie po to, by drwić z pozornej niepamięci czy jakichś nieistotnych wad i niepełnosprawności. Ostatnia scena w tekście Harwooda jest szlachetna i wzruszająca. W inscenizacji Czechowskiego jest jednak przygnębiająca, zła i poprzez przerysowanie nieprawdziwa. Źle jest bowiem, jeśli aktor łasi się do widza, a reżyser mu na to pozwala. Jest jeszcze gorzej, jeśli robi to reżyser.

Andrzej Buck